

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VIII.

Warszawa, dnia 23 września 1916 roku.

№ 39.

Adolf Nowaczyński.

Pięć obrazów dramatycznych.

Pułaski w Ameryce.

Weźmy do ręki pierwszą lepszą mapę Zjednoczonych Stanów Ameryki, a wraz zobaczymy na wybrzeżu Wschodnim tuż nad półwyspem Florydą położony port wojenny nazwiskiem: „Fort Pułaski”, broniący wejścia do zatoki. Tego samego brzmienia jest w Ameryce osiemnaście miast, miasteczek, osad; tę samą nazwę „Pułaski” noszą w różnych miastach ulice, place, „saloony”, halle, parowce handlowe, torpedowce, siódla końskie, fajki, marsze wojskowe i t. p. Przeciętny amerykańczyk nie umie wytłómaczyć, co znaczy ta nazwa; do ostatnich czasów nawet inteligentny yankee nie wiedział dokładnie, skąd się wzięło to egzotyczne słowo, ale też i nie zastanawiał się nad tem, jak mu zastanawiał się, dlaczego niektóre miasteczka, fermy, stacje kolejowe, przez które, nie zatrzymując się, przejeżdża swemi Pullmanami noszą dziwaczne nazwy: Częstochowa, Pannamaryja, Kostiuski, Varsaw, Kalwaryja, Cracow, Scarga i t. p.

W ostatnich dwudziestu latach zaczyna być lepiej pod tym względem. Odslonięcie pomnika Pułaskiego w Waszyngtonie, po odslonięciu pomnika Kościuski w Chicago w parku Humboldta, uroczyste zawieszenie portretów obu bohaterów pędzla mister Rysia w Independence-Hallu w Filadelfii, mowy prezydenta Tafta, Roosevelta, wygłoszone do polaków i wśród polaków, pomocy do wydobycia z niepamięci świetlanych i promieniejących nazwisk wojowników o niepodległość Ameryki. W ostatnich dwóch latach nadto, z momentem rozbudzenia bardzo niebezpiecznego militaryzmu anglosasów amerykańskich, rozbudziło się też większe zainteresowanie i dla tych cudzoziemskich wojowników, którzy w początkach istnienia najpotężniejszej republiki świata nęskwem swem, wiedzą i kunsztem strategicznym przyczynili się do wyzwolenia Stanów z pod kurateli brytyjskiej. Do tych zaś w pierwszym rzędzie, obok Lafayette'a i Kościuski należał, Kazimierz Pułaski.

Tego to bohatera i obywatela dwóch republik, zachodzącej i wschodzącej, trafia śmiertelna kula ówczesnych ciemnie-

ców wolności w bitwie przy oblężeniu Savannah pod Charlestown w stanie Georgia w południowej, tropikalnej Ameryce. Stało się to 9 października 1779 r. Ciężko rannego przeniesiono z placu boju na jeden z okrętów stojących na rzece Savannah. Okręt ten miał dowodzić rannych do najbliższego miasta, znajdującego się wrekach skonfederowanych, do Charlestownu. Tymczasem w drodze gorączka, która wywodziła się wskutek ran, spowodowała śmierć w kilka dni.

Na okręcie, który odwoził ciężko rannego Pułaskiego, jada generałowie amerykańscy Lincoln i Livingstone, oraz francuski admiral d'Estaing, współdowódcą w bitwie pod Savannah, który najniefortunniej naglił do pośpiesznego szturmu do twierdzy i pośrednio przyczynił się do przyspieszenia katastrofy. Oprócz tych są jeszcze „siostry morawskie”, t. j. należące do gminy religijno-socjalnej w Betlehem, amerykańki, spełniające w tej wojnie samarytańską służbę, oraz żnięci do niewoli przez jazdę Pułaskiego indyjanie z plemienia Mohiganów, walczący w Brytyjskiej dywizji Majtlanda.

Z druzby polskiej prawdopodobnie towarzyszyło Pułaskiemu w tej ostatniej przeprawie jeszcze kilku ostatnich niedobitków konfederackich, jacy służyli w różnych regimentach nowej republiki. Wśród nich może i baron Maurycy Aladar Benyowski, słynny węgierski awenturier, który krótki okres swego długiego, barwnego żywota spędził i w służbie konfederacji barskiej, poczem w różnych znanych perypetjach w Ameryce przyplatał się znów pod Savannah do Pułaskiego. Jest to ten sam Benyowski, który dzięki jednej z gawęd historycznych znakomitego powieściopisarza i świetnego publicysty naszego, Henryka hr. Rzewuskiego, działającej swą plastyką fascynująco na wyobraźnię poetów, czasem zaanektowany został bezkrytycznie do dziejów konfederacji barskiej, ba, nawet całkiem przypadkowo i nie zbyt słusznie (a raczej całkiem niestusznie) stał się jednym z „polskich romantycznych świętych” obok... Wernyhory..., Ojca

Marka, Samuela Zborowskiego... i tylu, tylu innych, o których prawda historyczna mówi bardzo twardo i surowo a „prawda” poetyczna pięknym wierszem i wzmośle. A. N.

AKT PIĄTY.

EPILOG.

Na pokładzie wojennej fregaty „Wasp”.

Tylna część okrętu wojennego, t. zw. „kampane”, i tej części t. zw. „steward bord”. Z lewej bliżej olbrzymi fokmaszt z rozpiętym na krzyżownicach i rozdechem ku lewej wielkich rozmiarów płótniskim żaglowem. Wzdłuż sceny w głębi idzie wysoka na wzrost człowieka burta, zginająca się w bliskości prawej strony i łagodnym łukiem idąca wzdłuż prawej, aż do samego przodu. Po burcie tej poznać, że tył okrętu nie kończy się w dziób, ale jest mocno, omal prostokątnie przecięty. Burtą drewnianą jest smołą zalana a z wierzchu blachą miedzianą obita. Ze szczytu i z pewnej wysokości fokmasztu, z lewej idzie tak ku pokładowi, jak i ku burcie szczególnie, moc lin grubych; końce tych lin u haków związane. Tak blisko zgięcia burty w głębi, jak tuż blisko z prawej, znajdują się w burcie wycięte wielkie luki dla armat okrętowych, na misternie rzezanych, drewnianych lawetach opartych; harmata w głębi w luce widocznej stoi tedy tyłem, harmata z prawej blisko stoi bokiem. Na środku pokładu, bliżej lewej strony w pokładzie wycięte zejście ze schodkami w głąb nawy, zejście z odwaloną kłapą na zawiasach, dokoła balasami z trzech stron obwiedzione. Nad burta w głębi, tuż z lewej widać na olbrzymich żelaznych kranach zwisającą szalupę. Tu i owdzie paki i baryły, buchy lin ciężkich w ślimaki pozwijanych, z samego przodu mała kufa ze smołą. Przy burcie z prawej strony w głębi, już blisko harmaty, stoi długi stół prostokątny, wązki, brązem kryty.

Fregata „Wasp” płynie na tle spochmurniałego nieba ku Charlestownowi.

Przy stole w głębi uwija się trzech marynarzy: TOMMY, BOB, JACK. Za-

kasane mają rękawy, na bosych nogach łapciaste chodaki, zamorusani smołą, sadzami. W rękach mają duże igły z grubymi nićmi. Na stole leży wzdłuż ciała ludzkie, obwiniete całe kilkakroć żaglowym płótnem. Marynarze kończą zaszywać ciało w płótno. Siwy, ogorzały Tommy i młody, piegowaty Bob u głowy... Pogodni i swobodni gwizdzą przy robocie na trzy głosy „Yankee-Doodle”.

Jack stoi przy otworze w pokładzie, w postawie służbistej, wpatrzony stale w górę w lewo. Przy uchu trzyma słuchawkę. Blżej z lewej czterech indyjan z plemienia Mohiganów kończy szorować podłogę pokładu. Indyjanie mają nogi skute małym, nieszczekającymi łańcuszkami. Są w stroju bojowym, jeden, siwawłosy z całym skrzydłem pancernym z piór, wzdłuż pleców i głowy. Twarze dumne i pańskie, nosy krogulcze i orle, ruchy ociężałe, ale szlachetne. Jeden rozlewa wodę z kubła na pokład. Inni trzej szorują mocnymi szczotkami kawałek pokładu z widocznym obrzydzeniem do tej roboty.

Z lewej, z góry słychać teraz przeciągłe dwa świsty piszczałki i wraz potem z innej strony okrętu takie same, jakby w odpowiedzi. Poczem głos z góry, z lewej rozkazodawczy, krótki, szorstki: Lewa. Cztery!

JACK: (*Patrząc w lewo wysoko, w górę, do gwizdzących:*) Lewa? Cztery. (*Nachyla się ku otworowi w pokładzie:*) Cztery!

BOB: (*Pochyliwszy się, patrząc przez lukę armatnią:*) A bo z prawej lezie jakaś landara...

TOMMY: (*Nie przerywając pracy, pochylony:*) Wojenna?

BOB: A jakże byś chciał?... Wojenna „Boston”. Poznaję po pysku. Wiecie jeszcze wojsko pod Sawannę! (*Odwraca się do roboty.*)

JACK: Chwała Bogu, dyabłu cześć. Przydadzą się...

(*Z góry, z lewej znów mocne dwa tony piszczałki i wraz dwie z różnych stron odpowiedzi.*)

GŁOS Z GÓRY Z LEWEJ: Lewa! pięć, sześć, trzy!

JACK: (*Pochylając się przez białki, krzyczy w dół:*) Pięć, sześć, trzy!... Lewa...

(*Znów dwa tony piszczałki.*)

JACK: (*Odwracając się do rudoskórych, grubowato:*) Hej tam! Ty! Rudoskórce! Będzie już raz, próżniaki przeklęte! Dwie godziny ten steward bord chlapią i chlapią.

GŁOS Z LEWEJ Z GÓRY: Jack. Daj mu w gębę, to będzie...

JACK: (*Zadzierając głowę w górę, ku lewej krzycząc:*) A co tam?... (*Przy uchu trzyma słuchawkę.*)

GŁOS Z LEWEJ Z GÓRY: Daj w gębę „Białemu Sepowi”. Będzie przedzej...

JACK: (*Przerywając robotę, dwa kroki ku indyjanom postą-*

pił:) Dobrze! Posłucham... (*Do indyjanina:*) Słyszycie, co mówił lord z bocieńca... Żeby wam gęby wyboksować, to będzie przedzej! (*Przybliża się jeszcze do nich:*) Myślicie, że ja tego nie posłucham. Zaraz wam pokażę, rozbójniki kolorowe. (*Z pasyą:*) Przedzej, zatracone nasienie Belzebuba! Jazda! kończyć raz te niedźwiedzie tańce! Za kwadrans pogrzeb, a rycerze z dyabelskiej puszczy jeszcze nie gotowe? (*Wziął się pod boki, krzykliwie:*) Przedzej mówię, do kroćset tysięcy fur par bezczek dyabłów!

(*MOHIGANIE robią swoje, nie zwracając nań najmniejszej uwagi. Od czasu do czasu spojrzą nań pogardliwie z grymasem. „BIAŁY SEP”, który rzolewał wodę z kubła i teraz stoi bezczynnie, patrzy nań z obrzydzeniem, z góry. Twarz siwawłosemu indyjaninowi ani drgnie.*)

TOMMY: (*Słyszac przy stole, pochylony nad robotą:*) A dajżeż im spokój Jack! Przecież już kończą.

JACK: (*Z uporem, klótliwie:*) Co im mam dać spokój. W zęby im dam, nie spokój... O... (*Groząc pięścią ku „Białemu Sepowi”:*) Pamiętaj... Wyoming-Valley Tommy! Pamiętaj rzeź w Wyoming!... Oni nam nie dawaj spokoju, te opętane muły! Jakby mogli, toby nas tu wszystkich cacanie oskalpowali... (*Do Białego Sepa”, pokazując łańcuszki:*) Tylko że breloczką mają u kostek... Ale niechby im zdjąć tylko... (*Do „Białego Sepa”, z pasyą:*) No, co tak na mnie patrzysz z piętra, ty... Ty capie z kogucią grzywą... Ty!... (*Wygraża mu pod nosem pięścią.*)

BOB: On jest dumny, bo on jest „Sachem”. Ty wiesz Jack, co „Sachem”? To książę! On jest hetmanem całego szczeplu! To on z Brytanami sojusz zawarł! Wiesz?...

JACK: Taak?... To, to on?... (*Do indyjanina:*) To to tyś, ptaszku, aż pod Sawannah zaszedł... Z nad Slave-Lake? Tak... Z gór, z nad Czarnych jezior i Pięciu Stawów? Tak?... (*piszczącym z pasy glosem:*) Ja nie wiedziałem, że to ten czubaty dyabeł... (*Do indyjanina:*) Widzisz! widzisz, na co ci to zeszło, ty... ty rudoskóry wojewodo... Ty... (*Igłą koto nosa mu igrając:*) Jedziesz teraz w dybach! pojmany do turmu! w Charlestown! (*Wesoło:*) Będziesz tam gnął na dnie... wiesz... dożywotnio... (*Wskazując na innych indyjan:*) Albo cała societa pójdzie pod mur i trzask. (*Pokazuje celowanie ze strzelby:*) trrrrach! fuzyladka...

TOMMY: (*Szyjąc ciągle, łagodnie:*) A nie dręcz żeż go już, Jack! A cożeś się tak wziął nad nimi...

JACK: (*Zaperzony:*) Jaktó com

się wziął? Cóż się tu dziwisz jeszcze... Chcesz się za nim wstawiać, stary śledziu holenderski, co? Wolno mi!... Ty nie wiesz, co to za jedni... Tyś stąd! Wirginińczyk, to nie wiesz, co to za piekielnicy są... A ja wiem... (*Wywijając pięścią:*)... ja wiem... Oni mi braciszka małego raz porwali i po szję w ziemię zakopali! Potem go trzeba było wykupić... (*Odwraca się ku marynarzom:*) frupka wykupić, by pogrześć!

(*Z lewej, z góry świstawka z odmiennemi dwoma tonami. Tej odpowiedzi z okrętu dwie inne.*)

GŁOS Z GÓRY Z LEWEJ: Prawa! Siedem!

JACK: (*Szybko stanął przy białkach, krzyczy w dół:*) Prawa! Siedem! (*Wraca:*) Ja ich znam! (*Z wściekłością:*) To drapieżny gatunek jest. Tylko teraz siły nie mają... Nic im, tylko wojować i wojować. Jak niema białoskórych blisko, to samą ze sobą... Albo się wynajmują, wiesz? raz tym, raz owym... kto bliżej... Dawniej francuzom z Kanady przeciw nam... Potem znów brytanom szły na pomoc, kiedy ci zwyciężali... Wszystko im jedno, komu!...

BOB: Tak... tak... To prawda... Byłe nie siedzieć na miejscu. Byłe nie pracować...

JACK: Oj to, to... W sednoś utrafił Bob! Byłe nie pracować... Ty, Tommy nie masz pojęcia, jakie to próżniackie plemię! Za nich wszystko ich baby robią... Wszystko! Gospodarza, farmera dobrego u nich nie uświadczysz! Płotu ci w swych fermach prostego nie ustawia! o...

BOB: (*Potakuje wciąż:*) Tak... Tak... prawdę mówi...

JACK: Rzemiosłem wszelkiem gardzą! Za ładaby żaden nie stanął... tylko wojować i wojować... a potem o tem pieśni śpiewają takie... albo znowu tańczą... albo znowu sejmy wciąż robią sobie... wokół obsiada... fajki w zęby i nuż łąca na wyścigi, co to, który dokazał...

TOMMY: (*Z podziwem:*) Ech, bo też są dzielni, co to gadać! rough-riderzy, jak mało... Jaka to kawaleria! Hoho...

JACK: Owszem! Kawaleria, ale i nic więcej! Na koniach się rodzą, to nie dziwota. Ale więcej nic, nic... Mądrego, uczonego między nim bracie nie widział nikt... Przynajmniej tak u Mohiganów i Chippawajów... Fajką się ulula i prorokuje... (*Spluwa:*) Ty! zatracone nasienie! wyginie wnet marnie, wiadoma rzecz...

TOMMY: Pewnie! Jak ich tak będziemy tępić! Bo doprawdy poluje się na nich, jak na bizuny.

JACK: (*Z pasyą:*) To ty ich o-

szczędzaj, stary flaku cielecy. O-szczędzaj! Jak ci córeczkę porwą, słiczną Dorrit! Jak ci ją oskalpują, będziesz inaczej śpiewał o nich... Zobaczymy!...

(*INDYANIE skończyli szorować pokład, odstawili kubły i szczotki i siadają z boku, z lewej w kuczki, za baryłą okrągłą naprzeciw siebie. JEDEN zapala fajczkę, pali chwilę i podaje drugiemu, ten trzeciemu i tak kolejno, od czasu do czasu coś pomruczą do siebie, zresztą patrzą w siebie tylko dumni a apatyczni.*)

(*W zejściu w pokładzie pojawia się głowa VANDERWILDA wchodzącego po schodkach. STARY SIERŻANT jest posepny, na ramieniu ma szeroka, czarna, krepową przepaskę.*)

BOB: To prawda, prawda!... O idzie Vanderwild!... Spytały się jego o rudokórców... Ty Tommy marynarz od dziecka, nie wiesz nic o nich. Na Atlantyku Mohiganów niema...

TOMMY: Co ja się mam Vanderwilda o to pytać... Ja go się chce spytać, kto zaczął być właściwie ten (*Wskazuje na obszywane na stole*

cielo:)... umrzyk!... Rozumiesz?... Niech wiem, choć kogom obszywał do ostatniej kąpieli... Nie o głupich rudokórców...

VANDERWILD: (*Smętny, zbliżając się, kiwnął im głową*:) Jak tam idzie praca, chłopcy... (*Westchnął ciężko*:) Dalekoście?

JACK: Całkiem dobrze, sierżancie... Kończymy... Teraz się tylko smolą szwy pobejtuje.

TOMMY: (*Skrobiąc się w głowę*:) Chcielibyśmy właściwie tylko wiedzieć coś dokładniej, sierżancie o... nim... O tym... (*Wskazuje na cielo*:) Tyle wiadomo nam, że to wielki generał był... Że jechała biedaczyna do Charlestownu na leczenie z ran, a tymczasem Bóg go na Swój Sąd powołał...

VANDERWILD: *stając przy stole, oczy aż z żalu przymknął, oparł się, głowa mu pochylila się od żalosci. Nie mówi nic.*

(*MARYNARZE: spoglądają na siebie znacząco. Zmilknęli. — Jest chwila ciszy. — Słychać jakby poszum fal uderzających o statek i wiatr świszczący w odęte żagle.*)

Dalszy ciąg nastąpi.

Helena Romer-Ochenkowska.

Nowela.

SPUŚCIZNA.

Ciężka to była podróż. Ostatnie kroki na drodze żywota, potem już nic nie mogło i nie powinno się było zdarzyć, wszak wszystko się już dopełniło — po brzegi kielicha. Dzie-dzić pięknego Laniewa jechał po raz ostatni oglądać ziemię ojców i dziadów, pokłonić się „pagórkom leśnym i łąkom zielonym“, klęknąć na mogiłach.

Nic innegoby ujrzyć nie mógł, bo nie tam już więcej nie było. Potwór wojny zżarł z tego zakątka głębszej Litwy wszystko, co wieki mozolnie budowały. Kły i pazury porwały i zmiażdżyły widome kształty pracy i mądrości pokoleń, podmuch ognia i kartaczy zmiotł z powierzchni ziemi rodzinnej jej kwiat najpiękniejszy — stary dwór polski.

Laniewski nie mógł sobie za nie wyobrazić, jak się to stało. I w głębi duszy, jakby?... nie wierzył. *Wiedział*, że tak było, ale to była jakaś powierzchowna, obca świadomość, czyjś nakaz, którego usłuchać nie chciało serce. Jakże bo mogło pomieścić w sobie tyle nieszczęścia? Chłonęło ból hojnie i mężnie, długo, długo, z zimną świadomością umysłu przypatrując się wszelkim szcze-

gółom kłęski, aż przeszła ona zdolność pojmwania.

Były niedole, przed których zrozumieniem zatrzymała się jego świadomość, i cołała się, zostawiając miejsce wspomnieniu.

I gdy się w nie wglębiał, rysowało mu tak lube obrazy, tak pogodne chwile, dopiero co ręką czasu przesunięte, niby ziarnka różańca delikatnymi palcami subtelnej dłoni!

Potem przyszły jakieś obrazy straszne, potem wieści jeszcze straszniejsze. I wszystko odsunęło się w jakąś mgłę dalekości niezmiernej. Męka chybnęła się od kresu do kresu, jak morze, wzdęte podmuchem huraganu, i martwa cisza zaległa serce opustoszałe. A wtedy tęsknota ssać zaczęła resztkę życia. I wzbudziła ostatni odruch woli — raz jeszcze być tam, po to, by on, umarły za życia, mógł zmarłym przysiądź, że spełnił wszystko, co mu ich i jego własny, odziedziczony, nakazał obowiązek.

Jechał więc powolnym pociągami, stawiającym niepewne kroki na świeżych nasypach; stawano, wleczono się, ale było mu to najzupełniej obojętne. Wszak tam nie cze-

kał nikt i nic, prócz grobów, a te są bardzo cierpliwe.

Gdy wysiadł na stacji, noszącej mało śladów wojny, wyszedł krokiem wolnym ale pewnym i zaledwie zamajaczyła mu w pamięci jego lotna czwórka gniadych i cacko-faetonik ze starym, sztywnym Dominikiem na kozłach.

Obojętnie, szybko siadł do pierwszej z brzegu bryczuszki, wymienił nazwę wsi, do której chciał dojechać, kiwnął głową na zgodę o cenę i przymknawszy oczy, czekał cierpliwie, aż woźnica guzdrać się przy koniu skończy.

Zaledwie zauważył, że ten człowiek obdarty i do ena znuźdźniały pocałował go w rękę; mignęła mu przed oczami twarz czarniawo-zielona, pokryta kudratym zarostem i wisząca na kościach policzkowych torbamą skóry.

„Kałamażeczka“, instrumencik tortur swoistego pomysłu, była tradycyjnie płytka, poto zapewne, by się w nią dostawało jaknajwięcej bryzgów wiosennego błota, i odpowiednio krótka, tak, że nogi podróżnych, o ile nie chciały wyciągnąć się aż na długą wiechę końskiego ogona, musiały przybierać najdziwniejsze załamania, aż do podpierania kolanami brody włącznie.

Pan Laniewski jednak na te niewygody był najzupełniej nieczuły; znał doskonale „fasony“ wehikulów okolicznych, niejednokrotnie z powodu jakiejś płataniny z depeuszami jeździł takimi oto taradajkami do domu, nie więc jeszcze nie mówiło mu dotykalnie o tem, że... domi już nie było.

A gdyby i był? Dla kogóżby go zostawiał? Dla Janka? Przecie i Janka już nie było... w takim razie, w takim razie... dobrze, że młocch wojny wraz z młodym gospodarzem zabrał i jego obojeście, dziedzictwo jego prawe.

Ej, Boże, a któż to takie okropne, nie do wiary opowiedział rzeczy?! Jakaż to moc na świecie była, żeby tak w jednej godzinie zmiotła, jak garścią zagarnąć, takie młode, bujne, potężne życie i taki stary, piękny, pamiątkowy dwór?

Jakże to tak? Mówili ludzie, do-wody jakieś... ale czy to stare ojcowskie serce czuje, że to prawda? Broń Boże, uznać nie podobna tych rzeczy, ani się z niemi żyć; kiedyś może okaże się, że to prawda, gdy boleść, kroplami sącząc jad w to samo miejsce, najgłębszą wydrąży w sercu przepaść beznadziejnej pewności. Tymczasem, nie, wszystko jest jak było, jak być powinno. Jakaż chwilę z przeszłości uchwyci zboliałe serce, by w niej spocząć, jak zszarpany bu-

rzą ptak? Czy te dalekie, nieprawdopodobne widziadła ciszy, spokoju, dobrobytu, sielanki żniw i szkolnych czasów, rodzinnych uroczystości i wesołych zebrań?

Czy te ostatnie męzne, nieugięte chwile, kiedy ziemia drżała pod stopami i stękało sklepienie błękitnego nieba, a wszystkie szyby w wielkim dworze brzęczały niemilkącym dreszczem trwogi?

Czy się tak bałeś stary, wytrzymały na tyle burz dworze? Wszak ci nie pierwszyna strzały w horn opodał, wszak widziałeś już nocne czuwania swych stu okien, wypatrujących sygnały, a ściany twe niejednemu jęk rannych słyszały.

Już tu kiedyś tym samym szlakiem ciągnęły niezliczone narody na zdobycie północy, aż zimny trup położył się na granicy swego królestwa i zgnilizną poraził żywych.

Czegóż więc drżałeś tak, stary, kochany domu? czy czuleś, że na ostatni koniec ci przyszło, bo tam kiedyś w chwale i szczęściu ginał twój dziedzic młody, więc ci nie było po co zostawać w bezużytecznym osamotnieniu.

Ejże, Janek zginął? Któżby tam w to uwierzył, mój mocny Boże!

Nie, wojuje on, wojuje jeszcze z polską piosenką na pąsowych ustach pół jasnym wąsem, konno sunie przez lasy i pola w swym siwym mundurku, na którego widok śmieją się oczy wszystkich dziewcząt, śpiewających o ulanach, jak „małowane dzieci“, i płaczą szaloną, niespodzianą radością stare oczy tych, co jeszcze dożyli.

Tak, tak, Janku, „raz przecież już zabrzmiały trąbek dźwięki“, gdzieżbyś ty ich nie usłyszał i na nie

nie odpowiedział, ty wyhodowane na opowieściach i piosnkach pachole!

Hodował cię po to stary dwór, po to otulał ścianami pokrytym portretami wodzów, po to kładł w ręce niezliczone książki biblioteki, wciąż mówiące o jednym, po to ci szumiały niebotyczne sosny opowieścią, jak powrotna fala, synów syny unosząca w te same gwiazdy.

Gdybyś nie był takim, to byś się wyparł i zapomniał chyba, lub pisał słowa proroków i poetów brał za martwe litery. A to wszak żywe nakazy, które coś miały znaczyć, coś przysięgać, coś spełnić.

Więc wzięłeś je w męzne, młode dłonie i poszedłeś wcielić w czyn, nakaz serca i sumienia, radosny, żeś jest przy tej robocie.

Dalszy ciąg nastąpi.

ZUZANNA RABSKA.

W Lesie.

*Przyjmij mnie w swoje szumiące głębie
lesie zielony...*

*Idę ku tobie dzisiaj znękana
z dalekiej strony...*

*Idę z tej strony, gdzie ludzie cierpią
i giną w męce...*

*O drzewa, złóście na moich skroniach
swe dobre ręce...*

*...Słońcem nagrzanę pachnie dokola
wonne igłowie...*

*A nad mą głową sosny szumiące
szepcą coś tkliwie...*

*Powolij z oczu znikają widma
tej krwawej wojny,
A pośród sosen i brzoź się ścięte
już zmierzch spokojny...*

*O cichy zmierzchu, zmierzchu liliiowy,
otul te wrzosa...*

*I zglusz dokola krwawego życia
upiorne głosy...*

*Ukój tę mękę, wśród której dusza
człowieka kona...*

*O lesie, przytul tych, którzy cierpią
do swego łona!...*

*...Pomiędzy sosny idę w zadumie,
w gąszcze zieleni,
A tam, za lasem, zachód się słońca
krwawo czerwieni...*

*Płonie to słońce, jak żywa rana,
i krwią ocieka...*

*Jak żywa rana, rana śmiertelna
w sercu człowieka...*

*...Naprzeciw idę wielkiego słońca,
które wciąż krwawi.*

*I krzyk przeciągły słyszę nad lasem
błędnych zórawi...*

*Krzyk ten się niesie, jakgdyby ranny
wołał w gęstwinie...*

*Cichem powietrzem echo zgłuszone
po wrzosach płynie...*

*Z tych tu okopów, gdzie wrzos się ścięte
z dział kule były — —*

*A tam na skraju lasu widnieją
świeże mogiły...*

*Z głębiny lasu widmo się krwawe
wojny wynurza — —*

*I tak jak wichur targa znów sercem
i grzmł, jak burza...*

*...Gdzie jest twój spokój, lesie sosnowy,
Gdzie jest wasz uścisk, ten, który koł,
lesie litosny?
szumiące sosny?*

*I tu, i wszędzie wizja tej wojny
snuje się krwawa — —*

*Echa jej płyną i bitew dzwoni
piekielna wrzawa...*

*Próżno ci, duszo, wśród lasu głębi
szukać schroniska — —*

*W zle oczy Życia i tutaj musisz
spoglądać zblizka...*

*W zle oczy Życia i tu, i wszędzie
patrzyć bez końca...*

*O lesie cichy! o rano żywa
krwawego słońca!...*

3,600,000.

Wojenne *si non e vero* w 3-ach aktach...
rejentalnych...

Rzecz się rozgrywa w olbrzymim, pięknie umeblowanym pokoju pałacowym. Na ścianach sztychy, obrazy, miniatury; w jednym rogu fortepian, w drugim pianino, fisharmonia; w trzecim rzeźby, figury, figuryнки. Zresztą, mnóstwo drobiazgów artystycznych.

E ben trovato, że jest to gabinet znakomitego mecenasa nietylko prawa, ale i sztuki.

Godzina 4 popołudniu.

Mecenas (nie uginający się zgola w tych czasach pod brzemieniem pracy zawodowej, zatopiony jest cały w lekturze komunikatów i opowieści wojennych).

„Ogółem od początku wojny zginęło śmiercią zgorą milion... wzięto do niewoli bez mała dwa miliony... prawie trzy miliony raniono — — —” Ufi!... (Odkłada okrutną gazetkę. Po chwili, w innym znów miejscu:) „Koszt jednej minuty prowadzenia wojny przez wszystkie mocarstwa wynosi w centime'ach — — —”

Dzwonek. Lokaj wprowadza klienta. Pan o starannie wygolonej twarzy:

Przychodzę, panie mecenasie, na zlecenie pani *** (wymienia nazwisko), brzmiające nader intrygująco) w celu spisania aktu fundacyi teatru kosztem miliona i stu tysięcy rubli, na poczet której to sumy pani *** w dniu dzisiejszym o godzinie wpół do piątej ma — — —

Jeszcze nie dokończył, rozlega się znów dzwonek.

Wchodzi nowy klient. Powtarza się mniej więcej to samo w odwrotnym porządku.

Pan z rozwichrzoną czupryną (recytuje wruszony:) Ponieważ pani *** (nazwisko, wymówione głosem drżącym i uroczyście, brzmi jeszcze bardziej intrygująco), jak to panu mecenasowi zapewne wiadomo, ma w dniu dzisiejszym o godzinie czwartej i pół popołudniu wpłacić na poczet budowy muzeum wraz z galerją obrazów oraz akademii malarzkiej, które pragnie ufundować kosztem miliona dwukroć tysięcy, sumę — — —

Mecenas (oszolomiony zupełnie, nie ma czasu wtrącić jednego pytania nawet, gdy rozlega się nowy dzwonek. Już trzeci).

W drzwiach staje trzeci klient: kobieta.

Mecenas (zrywa się na spotkanie).

Pani ***, jeżeli się nie mylę — — — (w ustach mecenasa nazwisko brzmi wręcz fascynująco).

Okazuje się, że mecenas się myli. Klient-kobieta. To właśnie ja przychodzę na godzinę...

Mecenas. Czwartą i pół?

Klient-kobieta. Tak jest, zamówiona przez panią...

Mecenas (kończy) *** (nazwisko brzmi bezmała modliwie), która funduje kosztem...

Klient-kobieta (z prostotą) Miliona trzechkroć tysięcy...

Mecenas. Gmach...

Klient-kobieta (z jeszcze większą prostotą) Trzy gmachy: koncertowy, a-

kademii muzyczna, oraz bursę dla niezamożnych...

Mecenas. Ach!...

Ogólny podziw. Potakiwania, poruszenia głową, kilkakrotnie:

Tak, tak...

Po chwili zaś jeszcze jedno:

Tak, są jeszcze i w tej trudnej dla sztuk chwil ludzie...

Klient-muzyczka (dumnie) Kobiety...

Mecenas. Ach!...

Dwa „achy”...

Mocny dzwonek.

Wszyscy powstają nabożnie. Chwyla ciszy.

Lokaj. Wielmożny pan mecenas będzie łaskaw na chwileczkę.

Mecenas (wraca z miną żałośliwie uśmiechniętą. Cedzi słowa powoli).

Polecono mi właśnie zakomunikować szanownym państwu, że pani *** (nazwisko brzmi tym razem zgola bagatelnie, prawie humorystycznie) osoba bez wątpienia dobrej woli, posiada osobistego majątku... jakież zaledwie...

Napieżenie.

Mecenas. Jakież 20,000 zaledwie, a i to jeszcze — — —

Trzej klienci jednocześnie, z jednako-
wym wzburzeniem:

Pierwszy klient: A cóż milion sto...

Drugi: Mój milion dwa...

Klient-kobieta: Milion trzy...

Mecenas (z uśmiechem pojednawczym) Razem 3,600,000... Moi państwo, gdy się czyta w pismach, że koszt jednej minuty prowadzenia wojny przez wszystkie państwa wynosi — — —

B. Gorceyński.

Wiktorya Cross.

Przekład z angielskiego
przez H. J. P.

Najwyższe prawo.

5

POWIEŚĆ.

Dora nie śmiała pozostać przy nim długo; powtórzyła mu tylko po wiele razy, że go kocha i nigdy kochać nie przestanie, i prosiła, by, gdy kamerdyner przyjdzie odprawić go w imieniu generała, oddalił się spokojnie, lecz nie powracał bez niej do Peshawuru.

Uwiadomiła go również o groźbie generała, wiedząc dobrze, że dla dumnej i zawziętej natury Hamakhana groźba taka będzie najlepszym argumentem, by go zatrzymać w pobliżu. Poczem wyrwała się z jego objęć i pobiegła z powrotem do domu. Słabo jej było, w głowie szumiało, nie czuła się zdolną o niczem myśleć, niczego przedsięwziąć. Znalazszy się w swoim pokoju, padła na łóżko i zasnęła twardo, jak kamień.

Około piątej po południu pojechała do swojej siostry Loli. Twarz miała chłodną i surową; usta zaciśnięte. Generał Harding był w klubie. Wszedłszy do ukwieconego salonu, Dora zastała siostrę, siedzącą samotnie przy herbacianej zastawie. Ucałowała serdecznie jej ładną, zawsze znużoną twarzyczkę i siadła naprzeciwko niej.

— Wiesz, Lolu — rzekła opierając łokieć na stoliku — wszystko się wydało.

Lola drgnęła i przygryzła usta.

— Jakim sposobem? — zapytała.

— Hamakhan był tak niemądry, że przyszedł w nocy do mego pokoju i ojciec na to nadszedł. Tak — ciągnęła dalej sarkastycznie, spostrzegłszy wyraz przestrawu, mał-

jący się w oczach Loli — to było miłe, prawda? Oczywiście, zrobiła się scena. Ojciec rzucił się na Hamakhana, on na ojca, zaczęły się szarpać i ojciec zrzucił Hamakhana ze schodów. O! Boże! Nie zapomnę nigdy tej chwili.

Dora umilkła i objęła głowę rękoma.

Lola, która dniem i nocą dźwiagała nudę małżeństwa bez miłości, zawartego ściśle według wszystkich przepisów prawa i obyczajów, stawszy się od początku powiernicą Dory, odnosiła się do namiętnych wynurzeń siostry z wielkiem współczuciem i życzliwością. „Czyż mogą ucciwie odwozcić ją od tego naturalnego szczęścia i radości i namawiać ją, by poszła za moim przykładem? I cóż mnie dało moje małżeństwo z rozsądkiem? — mówiła sobie Lola, gdy pewnego dnia Dora przywiozła młodego indyanina do tej bungli i wprowadziła go do salonu; a gdy stanął pośrodku ze swą cudną, klasyczną twarzą i posagowemi kształtami pod purpurą, złotem i haftami wschodniego stroju, szepnęła siostrze z błyszczącymi oczyma. „Oto ten, którego wybrałam. Co o tem myślisz?”

I Lola, znając usposobienie siostry, jej pojęcia i wychowanie, a będąc przytem obdarzoną dość bystrym sądem, nie mogła jej powiedzieć: „Porzuć go, a wybij sobie jakiego w podeszłym wieku dygnitarza lub poręcznika hulakę; będziesz z nim szczęśliwszą”.

Teraz, wysłuchawszy opowia-

dania siostry, pochyliła się ku niej ze współczuciem.

— Czy raniony?

— Nie, — odrzekła Dora, podnosząc swą bladą twarz. — Dostał tylko gorączki; to wszystko. Byłam u niego dziś rano. A w nocy miałam długą rozmowę z ojcem. Jacy ludzie są dziwni — ciągnęła dalej z rodzajem znużonej wzgardliwości — tu, gdybym naprzykład chciała zaślubić którego z tych wstrętnych, rozwyrzdzonych posagolowców, którzy nie mają więcej pieniędzy, niż Hamakhan, a natomiast mnóstwo długów, których on nie ma, ojciec nie stawiałby mi żadnych przeszkód i nie potrzebowałabym czekać pełnoletności, żeby postąpić podług mojej woli; ale ponieważ wybrałam człowieka, którego naprawdę kocham, i tak się zdarzyło, że ten człowiek jest indyjaninem, wszyscy porusziliby niebo i ziemię przeciwko nam. Tak; długo rozmawiałam z ojcem. Prosiłam, błagałam, żeby mi pozwolił zaślubić Hamakhana. Mówiłam, że jeżeli nie chce, żeby taki „skandal“ stał się tutaj, możemy pojechać do Anglii. Oto tu jest człowiek, który mnie kocha, którego jedynym marzeniem jest poślubić mnie; ja, gdy dojdę do dwudziestu jeden lat, wchodzę w posiadanie dochodu, zapewniającego mi zupełną niezależność... więc cóż na Boga może stawać na przeszkodzie naszemu małżeństwu? Co w tem może być złego lub hańbiącego? Tymczasem, sprzeciwiając się, ojciec sam popycha mnie na drogę poniżenia i hańby. Zmusi mnie do tego, że ucieknę z nim i blisko przez rok będę wiodła nędzne życie pomiędzy krajowcami, co istotnie, napiętnuje mnie. W rzeczywistości wchodzę tu w grę jedynie kwestya rasy, nienawiści i zazdrości rasowej. Ojciec nie może znieść tej myśli, żeby krajowiec miał posiadać jego córkę; nie może ścierpieć, żeby Hamakhan osiągnął cel swoich pragnień; i woli raczej poświęcić mnie, moje szczęście i moje dobre imię, niż pogodzić się z tem, co się zmienić nie da.

Nastąpiło długie milczenie; potem Lola rzekła:

— I cóż zamierzasz uczynić?

— Ucieknę z Hamakhanem, gdy tylko będzie można. Ojciec jest zupełnie spokojny o mnie, bo nie przypuszcza, abym mogła narazić się na „nędzę i wstyd życia pomiędzy krajowcami“. Zapewne udamy się do Bombaju i tam Hamakhan będzie musiał zarabiać wyplataniem mat na nasze utrzymanie. Wyobraź mnie sobie siedzącą z podwinętymi nogami w glinianej lepiance, co? — i Dora zaśmiała się ironicznie, przechylając się w tył w swoim wytwor-

nym, witytowym kostymie i splatając delikatnie, białe ręce nad głową. — Ale cóż, niema innej rady, i ty, Lolu, musisz mi trochę dopomóc. Zostawię u ciebie walizę z najpotrzebniejszymi książkami i trochę bielizny i garderoby; prześlij mi ją, gdy po nią napiszę, i nie pozwól, by ojciec nas ścigał. Z tego wyniknąby tylko jeszcze większy skandal, a skutek byłby żaden. Będzie można tak rzeczy przedstawić na razie, że pojechałam na jakiś czas do Cecylii, a jeżeli zniknę na zawsze, a ojciec będzie się zachowywał taktownie, to jakiegokolwiek będą mieć domysły, nikt nie napewno wiedzieć nie będzie. Uciekniemy, gdy się pierwsza sposobność nadarzy. Dziś Hama był jeszcze zbyt chory, by o tem mówić. No, tymczasem do widzenia, Lolu, — dodała Dora, wstając.

Pani Harding wstała również.

— Będiesz dziś na balu?

— Ach! prawda, to dziś wielki bal u namiestnika. Nie; nie będę; skończyłam już z balami.

— A ja cię proszę, Doro, bądź; nie dawaj tematu do plotek — rzekła Lola i tak zaczęła nalegać, że Dora ustąpiła wreszcie.

Bungla namiestnika Long'a była bardzo pięknym, jednopiętrowym budynkiem, o białym, płaskim dachu, po którym rozkosznie było przechadzać się o wschodzie i zachodzie słońca i patrzeć na olbrzymie bananowe krzaki, płaczące akacje i purpurowe hibiskusy ogrodu.

Tego wieczora, ze względu na bal, cały dom i ogród były uiluminowane. Przez długie, szklane drzwi otwarte na werandę wylewały się potoki żółtego światła, a na gałęziach drzew wisiały setki chińskich latarek, płonących spokojnie w gorącym tchnieniu nocy. Woń magnolii i datur przesycała powietrze. Gwiazdy mrugały na czarnem niebie i wschodził złoty księżyc. Przez otwarte drzwi i okna bungli płynęły rozmarzające dźwięki tanecznej muzyki. Ale podjazd zapchany był jeszcze nadjeżdżającymi wciąż ekwipażami; a wśród najbardziej zapóźnionych znajdował się powóz Hardingów. Siostry siedziały obok siebie. Generał nienawidził balów i Dora bywała na nich najczęściej z siostrą. Tego wieczora wyglądała bardzo blado, oczy jej błyszczały nienaturalnym ogniem, a w oprawie długich, ciemnych rzęs wydawały się prawie czarne. Zanedo kochała, żeby się czuć nieszcześliwą, ale była rozdrażnioną i znużoną niepewnością i niebezpieczeństwem swego położenia.

Gdy tak siedziały obie czekające, obojętne oczyma wodząc po tchnącym wesołością otoczeniu, jakaś

meńska postać przesunęła się pomiędzy powozami i zatrzymała przed ich wiktoryą. Był to Thompson. Był niezwykle ożywiony, w rękę trzymał dwa programy.

— Ach! znalazłem panie nareszcie—zawołał, witając się z niemi.— Jakie to okrucieństwo przyjeżdżać tak późno! Przyniosłem paniom programy. Raczy mnie panj obdarzyć jakim tańcem, panj Harding?

A uzyskawszy przyrzeczenie, zwrócił się do Dory.

— Do ilu tańców pozwolisz mi się panj zapisać? — spytał szeptem. — Wyglądasz panj tak blado. Musisz być zmęczona. Pozwól mi panj zapisać się na trzy z kolej i przesiadziemy je na rozmowie. Czy dobrze?

Dora uśmiechnęła się, skinawszy głową. Serce Thompsona drgnęło nadzieją; pospiesznie zapisał się w jej karnecie, poczem powóz posunął się ku bungli.

Gdy Dora weszła z Thompsonem na salę balową, doznała chwilowego olśnienia. Światła niezliczonych lamp odbijały się w wyfroterowanej silnie posadzce, po której kręciły się liczne pary, świetnym koliskiem barw i blasków. Jasne stroje kobiet, pienne fale ich koronek, ognie klejnotów zlewały się z migotaniem złotych haftów na mundurach. W głębi poprzek kamienne kolumny werand, obstawione palmami i młodziutkiemi granatami, widniało ciemne, usiane gwiazdami niebo, z mętną linią wzgórz na dalekim horyzoncie. Orkiestra, umiejętnie ukryta za kępami tropikalnych roślin, grała walca.

Oczy wszystkich nietańczących, których była liczba przeważna, zwróciły się na Dorę ze szczególnem zaciekawieniem.

Dora nie była pięknością w ścisłym znaczeniu tego słowa, ale miała powierzchowność uderzającą wyjątkowo jasną karnacją i nieźrównaną wiotkością kibici. Stąpając z wdziękiem po gładkiej jak lustro posadzce, czuła te oczy utkwione w sobie i nieco drwiący uśmieszek okrążył jej usta. Myślą, duszą była w chatce, stojącej na podwórzu jej bungli. Przyszła tam przed wieczorem i zastała ją pustą. Hamakhan zniknął i nikt ze służby nie wiedział, co się z nim stało.

Tańcząc walca z Thompsonem, zadawała sobie wciąż to pytanie. A gdy Thompson po skończonym tańcu zaproponował nieśmiało, by zeszli do ogrodu, zgodziła się machinalnie i oboje skierowali się w stronę oświetlonej kolorowemi lampionami werandy. Tuż przed nią był miękki trawnik, obstawiony w półkole ogro-

dowemi ławkami, za któremi gęsto zbita masa palm, akacji i bananów tworzyła niby mur zieleni, rzucający głęboki cień, tem głębszy, że równoległe z nim, niby obrus srebrzysty, słała się na ziemi szeroka smuga księżycowego światła. Na jednej z ławeczek wysuniętych na światło usiadła Dora, a Thompson zajął obok niej miejsce.

Czas jakiś siedzieli w milczeniu w wonnej, nocnej ciszy, nurzając się w księżycowej kąpeli, kołysani stłumioną melodią walca, poczem młodzieniec, wpatrzony w uroczą postać przy swoim boku, jął szeptać coraz wymowniej, coraz namiętniej, ośmielony milczeniem Dory. Zatoniona we własnych myślach nie słuchała go, dopiero, gdy rzekł: „Więc mogę powiedzieć wszystkim, że jesteśmy zaręczeni“, ocknęła się z zadumy i utkwiała w nim wzrok tak pełen przerażenia, że Thompson coinał się zdumiony.

Dopiero teraz zrozumiała, iż prosił ją, aby podzieliła z nim jego tyle to i tyle tysięcy funtów rocznego dochodu, jego yacht, dom w stolicy i jego towarzystwo dniem i nocą. Spojrzała na niego i z szybkością błyskawicy uprzytomniła sobie porównanie pomiędzy nim a tym, którego wybrała. Thompson wysoką był, ale ciężko zbudowany; sztywny, angielski kołnierzyk okalał mu szyję, spaloną na czerwono przez indyjskie słońce; krótko ostrzyżone włosy podnosiły się na czubku głowy upartym „wicherkiem“, widocznym dokładnie w księżycowym świetle. Rysy miał kształtne, ale przez otwarte ze zdumienia usta ukazywały się zęby czerniałe od tytoniowego dymu i gęsto złotem popłombowane, pomimo, że miał dopiero dwadzieścia sześć lat. I gdy Dora szybkim spojrzeniem objęła wszystkie te szczegóły, oczom jej duszy ukazała się niezrównana uroda indyanina, opróżnioną wiosennym wdziękiem rozkwitającej młodości.

— Nie, och *nie!* — rzekła z taką stanowczością, że Thompson pobladł.

— Dlaczegoż myśl zostania moją żoną tak panią przeraża? — zapytał, usiłując uśmiechnąć się. — Cóżby w tem było nadzwyczajnego lub niemożliwego?

— Nie mamy ani jednej myśli wspólnej — odrzekła Dora. — Nie jestem zupełnie stworzoną na żonę pana.

Thompson popatrzył na białe ramiona, wychylające się z atlasowej sukni, na spokojny, wdzięczny układ wiotkiej postaci, wyobraził ją sobie jako panią jego domu, przyjmującą gości, i zaprzeczył.

— Jak pani możesz to mówić? — rzekł z wyrzutem. — Pani jesteś właśnie moim typem, moim wymarzoną idealną kobiecością.

— Tak — odparła Dora pogardliwie — tak się panu zdaje, ponieważ widzisz mnie tylko publicznie, gdzie jestem towarzyską lalką, modnie ustrojonym manekinem konwensów; ale co pan wiesz o moich poglądach i uczuciach?

— Nie chcę o nich wiedzieć; kocham panią taką, jaką jesteś — szepnął Thompson, czując instynktownie, że popełnia jakąś niezręczność.

— Właśnie — podchwyciła Dora drwiąco — ale po ślubie musiałbyś pan zapoznać się z niemi i wtedy nie byłoby to przyjemną niespodzianką dla pana. Zresztą — dodała z żartobliwą ironią — dlaczegoż miałabym wychodzić zamaż bez miłości? A ja pana nie kocham.

— Ale dlaczego? dlaczego? — zapytał Thompson z rozpaczliwym naleganiem, nie czując, ile śmiesznej zarzuciła zdradzały te słowa, i pochylając się ku niej.

— Dlaczego? — powtórzyła Dora, ogarniając go lekceważącym spojrzeniem swych błękitnych oczu. — A więc, powiem panu. Oto słyszałam o pewnym sahibie, który wróciwszy pewnego wieczora do swojej bungli w złym humorze, tak skopał służącego, który mu drzwi otworzył, że trzeba go było zanieść do szpitala, gdzie okazała się konieczność odcięcia mu nogi i gdzie na skutek tej operacji umarł; i że ów sahib, dowiedziawszy się o tem, co się stało, przez umyślnie wyprawionego ze szpitala posłańca, zaklął tylko i tegoż wieczora był w teatrze na przedstawieniu „*Mikada*“. Otóż takie rzeczy nie podobają mi się.

Thompson pobladł ze zdumienia i z otwartymi ustami słuchał, nie przerywając, a gdy skończyła, wyjął:

— Jakim sposobem dowiedziałaś się pani o tem?

— Takim, że samą pielęgnowałam tego biedaka w szpitalu i wyprawiałam do pana posłańca, o czem nie wiedziałeś, i że nazajutrz dowiedziałam się, iż siedziałeś w teatrze obok pustego miejsca, które ja miałam zająć na przedstawieniu „*Mikada*“.

Thompson, który wiedział, że Dora często odwiedzała szpital krajowców, poświęcając dużo czasu i pieniędzy chorym, był poprostu zmiażdżony tem opowiadaniem i mógł jedynie wejść w rolę skruszonego grzesznika.

— Każdy z nas ma swoje chwile, w których postępuję, jak brutal — szepnął. — Ale żalowałem tego z ca-

łego serca. (Mówiąc w ten sposób, kłamał, bo nigdy o tem całem zajściu nie pomyślał, o czem Dora wiedziała, gdyż ona to musiała zająć się losem wdowy i sierot). Zechciej więc pani nauczyć mnie filantropii.

Dora popatrzyła na niego z pogardą; z pogardą dla jego charakteru, jego umysłu i jego fizyczności i pomyślała:

— Nawskroś egoistyczny i obojętny na cierpienia drugich moralnie; tępy umysłowo; pospolity fizycznie; i cóż za tym młodym angiakiem przemawia?

Głośno zaś rzekła:

— Zważywszy, że potrzebowałeś pan piętnastu lat, aby się nauczyć po grecku, a piętnaście miesięcy, aby tej greczyzny zapomnieć, nie sądzę, żebyś był bardzo pojętnym uczniem.

— Grecyzna i filantropia to dwie różne rzeczy.

— Zapewne; lecz zdaje mi się, że filantropia byłaby dla pana jeszcze trudniejszą, niż grecką język.

Było coś w jej tonie, co się nie dało tłumaczyć dwojako. Thompson zerwał się z ławki i nie powiedziawszy już ani słowa więcej, odszedł. Dora oparła łokieć o poręcz ławki i przeprowadziła go drwiącemi oczyma.

— Doro! — wymówił głos jakiś za nią bardzo cicho.

Drgnęła i obejrzała się. W cieniu olbrzymiej palmy rysowała się szczupła, wysoka postać indyanina; złote hafty jego zuawki przebły skiwały blade w świetle wiszącej w pobliżu kolorowej latarki.

Dora zerwała się ze stłumionym okrzykiem radości i w mgnieniu oka zanurzyła się w cień. Dokola pusto było zupełnie; wszyscy goście tańczyli w bungli, skąd płynęły potoki światła i muzyki.

Hamakhan postąpił parę kroków ku Dorze i milcząc ujął jej rękę. Podniosła na niego oczy; nawet w tym cieniu dostrzegła siną nabrzmiałość, gorącą pomiędzy brwiami, a także wyraz niezwyklej, prawie nieubłaganej stanowczości, wypiętnowany w jego młodzieńczych rysach.

— *Humare sath abbi aou* (Teraz pójdz ze mną).

Nie było prawie weale tliwiłości w jego głosie, a tylko ogromna stanowczość. Przez ten głos przemówiła jego rasa. Ta kobieta była jego własnością i kochał ją szalenie; dlatego też miał na biodrze wystrzony nóż, gotów uciąć jej głowę, gdyby go nie posłuchała. Z Pathańczykiem żartów niema.

Ale Dora, której niezłomnem postanowieniem było pójść za tym czło-

wiekem przez ogień i wodę, i która czuła, że tylko w jego objęciach znajdzie niebo na ziemi, nie zlekka się jego surowości. Serce jej zabiło gwałtownie nadzieją szczęścia; blade policzki zakwitły żywym rumieńcem; otwarte szeroko oczy utonęły z upojeniem w twarzy młodego indyanina, a rozchylone rozkoszne usta szepnęły jeden tylko wyraz:

— *Chalauenge* (Pójdziemy).

W pół godziny potem Dora, otulona swym długim, czarnym, jedwabnym płaszczem, wyszła z opustoszałej szatni i zbiegła ze stopni werandy. Światła płonęły dookoła niej; tancecne dźwięki muzyki zdawały się szeptać nalegająco: „Precz! precz! z tem starem życiem! Spiesz tam, gdzie cię czeka nowe”.

Hamakhan, który po za swoim gładkiem, klasycznym czołem posiadał bystry i praktyczny umysł, powiedział jej w kilku krótkich zdaniach, co obmyślił, leżąc w swej ciemnej chacie i co uczynić mają.

Więc przedewszystkiem wystarał się o konia, którego mu pewien przyjaciel pożyczył, i koń ten zawiezie ich do domu innego przyjaciela w krajowym mieście, gdzie Dora miała przebrać się w przygotowany już strój mahomekański. Następnie udadzą się do Naupuru, wiejskiej, kolejowej stacyjki, skąd o piątej zrana wsiądą na pociąg idący do Brishamguru, daleko na południe od Jungpuru położonej miejscowości. Tym sposobem zatrą za sobą ślady, o ile, oczywiście, nie zdradzą ich owi przyjaciele.

On pójdzie przodem i będzie czekał na Dorę z koniem w pewnej odległości od bungli na gościńcu. I tak się stało. Dora wymknęła się niepostrzeżenie z salj bałowej i skradając się pod parkanem na lewo, obeszła oświetlony kolorowemi lampionami dziedziniec. W ten sposób doszła do rowu dzielącego podjazd od gościńca. Zebrawszy tren i suknię w jedną rękę, przeskoczyła rów zręcznie i pędem strzały pobiegła po wyżwirowanym, kokosowemi palmami wysadzonym podjeździe, aż do miejsca, gdzie gościniec, ciągnący się na zachód, leżał pusty i biały w księżycowym świetle. Tu, rozejrzawszy się dookoła i widząc, że niema nikogo, zaczęła iść szybko, spokojnym krokiem ku oczekującej ją przyszłości.

W pobliżu pagórka, którego wyniosłe palmy rzucały głęboki cień na drogę, Hamakhan wyszedł na jej spotkanie.

— Gdzie jest koń. Hama? — zapytała, wysuwając się ze śmiechem z jego uścisku. — Prędko! Lada chwila mogą zarządzić pościg.

Hamakhan wyprowadził z ukrycia małego arabszyka, który wyrzucił lbem i parsknął na widok czarnej postaci dziewczyny. Hamakhan wskoczył na niego i wyciągnął ramię, by pomódz Dorze wsiąść. Dora uchwyciła dłoń indyanina i chciała dosiąść konia, ale ciężkie fałdy sukni i płaszcz przeszkodziły jej i zsunęła się na powrót na ziemię.

Hamakhan, nie będąc anglikiem, nie znecierpliwiał się tą niezręcznością; zaśmieli się oboje, tym świeżym, szczęśliwym śmiechem, jakiego on pierwszy ją nauczył; poczem kolanami ścisnąc bok ognistego rumaka, pochylił się; oburącz pochwycił w pół wiotką postać dziewczyny i posadził ją za sobą ze zdumiewającą zręcznością.

Dalszy ciąg nastąpi.



Z literatury.

„SFINKS”.

Zaszczytnie znany miesięcznik literacki „Sfinks” wyszedł w roku bieżącym już w ósmym zeszytu. Na wstępie znajdujemy bardzo interesujący artykuł p. Augusta Popławskiego p. t. „W drugą rocznicę”. Kronikę literatury zagranicznej, specjalnie francuskiej, zestawiał z czas wojny Adolf Nowaczyński, zwracając uwagę, że we Francji minął już czas bezpowrotnie na zamiłowania passeistyczne. Nawet Francje stanął dziś do apelu w walce o los swego narodu. Młode, bujne latorośle galizmu, butne, zdrowe, silne, zdobywczę znalazły w kronice Nowaczyńskiego wyróżniające uwzględnienie. Ciekawą pracą dał p. Tadeusz Newlin-Wagner o „Wędrówce zbiorów polskich do Rosyi”. „Zasopismienictwo bibliograficzne polskie a rejestracja polskiej produkcji wydawniczej” — oto tytuł najnowszej, bardzo zajmującej pracy p. Stanisława Jarkowskiego. Praca ta powinna być przeczytana sumiennie i wzięta pod rozwagę przez naszych wydawców. Zjawia się w samą porę. W dziale literacko-beletrystycznym znajdujemy powieść Tadeusza Żuk-Skarszewskiego p. t. „Rumak Światowida”, oraz poezye p. L. Chranowskiego, Henryka Juszkiewicza i Z. Rabskiej. Wśród poezyi szczególnie cykl o „Zimnej Pani” zaleca się szczerością uczucia i pięknnością formy. Jest to stanowczo jeden z piękniejszych cyklów erotycznych poezyi polskiej. W kronice artystycznej informuje p. Wacław Husarski o sztukach plastycznych. Zeszyt ósmy „Sfinksa” doborową swoją treścią czyni zaszczyt redakcyi. Redaktorami „Sfinksa” są dr. Władysław Kłyszewski i dr. August Popławski.

Rozwój gospodarczy nowoczesnej wsi polskiej.

Pracę pięciu lat gruntownych studiów przekłada społeczeństwu polskiemu dr. Leon Władysław Biegeleisen. Rozwój gospodarczy nowoczesnej wsi polskiej został przez dr. Biegeleisena wszechstronnie opracowany. W pierwszym tomie znajdujemy kwestyę robotniczą rolną. „Kwestya ta, mówi autor, stanowi dziś jedno z najważniejszych zagadnień ekonomicznych krajów zarówno uprzemysłowionych, jak i rolniczych, równocześnie będąc, jeśli chodzi o ocenę żywotności ekonomicznej poszczególnych form posiadania włościńskiego, zasadniczym punktem wyjścia w ujęciu problemu”. P. Biegeleisen daje przytem materiał poznawczy, poświęcony faktycznym stosunkom w tej mierze, oraz wskazuje na środki zaradcze, czyni próbę rozwiązania kwestyi robotniczej ze stanowiska produkcyi rolniczej z uwzględnieniem dalekoidącym interesów pracownika.

Gdy ukaże się tom drugi, w którym autor ujmuje wewnętrzną strukturę gospodarstw włościńskich, będzie można dać krytyczną ocenę tego gruntownie opracowanego dzieła. Dziś już jednak zaznaczyć należy, że jest to źródłowo opracowana i oryginalna, wyczerpująca przedmiot książka, którą poznać winni wszyscy myślący o przyszłości obywatela. Po wojnie kwestya wewnętrznej kolonizacyi stanie się nie tylko ze względu na inwalidów wojskowych jedną z najbardziej palących spraw gospodarczo-narodowych! Trzeba będzie wynaleźć taką formę gospodarczo-polityczną dla drobnej i większej własności chłopskiej, któraby żywotnością swoją sprzyjała ogólnemu rozwojowi naszego organizmu ekonomicznego.

Praca dr. Leona Władysława Biegeleisena zasługuje, by zajęto się nią i rozważono jej postulaty. Chodzi tu przecież o jedną z najbardziej palących spraw naszego życia zbiorowego.

Rozwój i przyszłość prawa międzynarodowego.

W roku bieżącym wydał już mec. Julian Makowski poważnie opracowaną książkę p. t. „Zasady prawa międzynarodowego”. Obecnie daje nam nowy przyczynek w tej materji p. t. „Rozwój i przyszłość prawa międzynarodowego”. Mec. Makowski mówi: „Dopiero wojna europejska wykazała, jak niekompetentni i niedoskonałymi są przepisy haskie, które określają prawa i obowiązki okupanta. Artykuł 43 regulaminu, zredagowany umyślnie ogólnikowo i dwuznacznie, był powodem, że ludność krajów okupowanych oddaną była na łaskę i niełaskę nieprzyjaciela” (Str. 69). P. Makowski przypuszcza, że rezultaty tej wojny muszą też przynieść w darze ludzkości ściślejsze określenia w dziedzinie prawa międzynarodowego, które nie pozwolą w przyszłości na rzeczy, jakie się działy dotąd. Książka p. Makowskiego godna jest poznania.

